

# Niby życie

Bodaj pierwszy raz oglądamy na szczecińskiej scenie sztukę Różewicza. Można chyba pokusić się o stwierdzenie, że brak tego autora w repertuarze naszych teatrów stanowi istotną lukę. Czy wypełnia ją w jakimś stopniu „Wyszedł z domu”, „tak zwana komedia”, napisana przez Różewicza 11 lat temu? Sądzę, że tak. Jest to rzecz na pewno bardziej charakterystyczna dla dotychczasowej twórczości Różewicza, dla teatru, niż na przykład całkiem świeże, grane aktualnie w Warszawie, „Białe małżeństwo”.

Inna sprawa, na ile „różewiczowski” jest przedstawienie „Wyszedł z domu” w Teatrze Polskim, w reżyserii Krystyny Tyszańskiej? Jedno nie ulega wątpliwości: dwa tygodnie, jakie upłynęły od premiery, świadczą, że jeżeli chodzi o publiczność, przedstawienie „chwyciło”. Wszystkie spektakle odbywają się przy kompletach widzów, co nie jest znów tak codziennym zjawiskiem w naszych teatrach. Co istotne, jest to w dużej części młoda publiczność, chłonna z wielkim zainteresowaniem akcją sceniczną. Samo to zainteresowanie to już spory sukces autora i realizatorów sztuki.

Na temat tego przedstawienia miałem okazję słyszeć głosy, że Tyszańska przedobrzyła z Różewiczem, że ze sceny niepotrzebnie wieje dulszczyzną, że Barbara Mikołajczyk, jako Ewa, jest postacią przesadnie postarzałą i zanedbaną, a ściślej — nie dość dobrze ubożoną w zachowaniu się. Osobiście nie sądzę, aby taka propozycja Ewy była niezgodna z Różewiczem. Wręcz przeciwnie nawet. A jeżeli już Tyszańska nie dochowała wierności postycie utworu, to akurat nie w tej postaci. Główne jej odstępstwo, to rezygnacja ze „sceny baletowej” i pantomimy zalotników. Zamiast tej ostatniej mamy w ciemności trzy nagie postacie męskie, jako swego rodzaju senna wisza Ewy. Tym samym majaki Ewy nabrały erotycznego charakteru, nawet nie freudowskiego w swoim wyrazie, bo całkiem dosłownego, pozbawionego jakiegokolwiek symboliki. Czy akurat tak powinno być — rzecz wydaje się co najmniej dyskusyjna.

Nie wiadomo również dlaczego Pani I (Wanda Paderewska) i Pani II (Ewa Czajkowska), nie siadają przy stole, jak chce tego autor w didaskaliach, ale z boku, z głowami pod hełmami suszarek, co znaczy, że znajdują się w salonie fryzjerskim?

Reżyserka, a z nią autorka scenografii, Barbara Jankowska, zrezygnowały wreszcie z wielu zegarów, które chciał na scenie widzieć Różewicz, i które miały świadczyć, że jest o sztuka o przemijaniu czasu.

W przedstawieniu Tyszańskiej nie to jednak, wydaje się, jest najważniejsze. To przedstawienie jest przede wszystkim jadowitą satyrą na bezsens egzystencji ludzkiej w zuniforimizowanym świecie, egzystencji sprowadzonej do przynwojenia sobie najprostszycy pojęć i stereotypów zachowania, do funkcjonowania podstawowych biologicznych odruchów. Egzystencja, w której akceptujący ją człowiek pozbawiony jest własnej twarzy, poglądów, a nawet świadomości własnego stanu. „Papa — mówi do sierżanta Gizela — właściwie był nijaki, to znaczy podobny... chciałam powiedzieć... był niepodobny do niczego... jak wszyscy...”.

Człowiek wyszedł z domu, upadł poślizgnięwszy się na skórce banana i stracił pamięć. To cała szansa, aby całe życie zacząć od nowa, inaczej, ale wraca na łono rodziny (podstawowej komórki społeczeństwa, bo lepszej formy na razie nie wymyślono) i w szybkim tempie staje się na powrót tym, czym był, to znaczy niczym. A właściwie czy aby z tym samym człowiekiem mamy do czynienia. Czy Henryk jest naprawdę Henrykiem, czy może kimś innym, a dokumenty tylko przypadkowo się zgadzają? Rzecz wcale nie jest nieprawdopodobna. Tym gorzej dla egzystencji o jaką chodzi. I tak jej filozofię można wyrazić w kilku wyświechtanych frazesach, które składają się w sztuce na ojcowskie posłanie Henryka wobec Gizela i Beniamina.

Można się zgodzać lub nie zgodzać z Różewiczem, ale w obrębie tej koszmarniej rodziny, tego niby życia jest przecież sporo znajomych tonów, coś rzeczywistego. Różewicz kpi i protestuje przeciwko czemuś, co w istocie dookoła nas — a może i w nas — w jakimś stopniu tkwi. Protestuje nie jako szyderca, ale zatroskany humanista. W tym stanie rzeczy już niejako poza ramy sztuki wychodzi scena Intermedium, osobista dyskusja Różewicza z egzystencjalizmem, w świetnym zresztą wykonaniu Zbigniewa Witkowskiego, Henryka Majcherka i Józefa Chwiejczaka.

A może jednak można inaczej? Wyjść poza ramy egzystencji, jaką widzimy? Zgodnie z zasadą „teatru otwartego” Różewicza sztuka nie kończy się właściwie. Henryk wychodzi z domu jeszcze raz. Albo raczej — ucieka. Czy wróci? Kto to wie.

Barbara Mikołajczyk i Józef Jachowicz, jako Henryk, z drugim powodzeniem, w moim przekonaniu, dostosowali swoje postacie do tonacji autorskiego tekstu. Dobrze zaprezentował się w roli sierżanta Jerzy Wąsowicz, a w roli Kolegi — Roland Głowacki. Nieco zbyt farsowo, niemniej sprawnie wypadł w roli dziecka — Beniamina Henryk Gesikowski, w czym, niestety z mniejszym skutkiem starała mu się dorównać Elżbieta Arendowicz, jako Gizela. W rolach Sanitariuszki wystąpili: Kazimierz Motylewski i Jerzy Przewłocki.

A swoją drogą powodzenie „Wyszedł z domu” dowodzi chyba także, że szczecińska publiczność odczuwa ciągle nie zaspokojoną w pełni potrzebę na współczesną dramaturgię.